№ 2. Warszawa, dnia (2) 14 Stycznia 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1. Za odnoszenie do domu *kop. 10.*
Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25; półrocznie . „ 2.50; rocznie . . „ 5.—
Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie Księgarnia Polska** Plac Maryacki 11; w **Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego**. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu
Za zmianę adresu kop. 15.

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ wiersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warszawskie** i znaczniejsze zagranicą.
Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa. Chmielna 26.
TELEFON 106.

Od Redakcyi.

Nowi prenumeratorowie życzący sobie przednoworocznych kompletów rozpoczętych w „Tygodniku“ powieści nadsyłać raczą:

Na komplet „Alkhadara“ kop. ***35.***
Na komplet „Wyzwolonej“ kop. ***15.***

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

Sekretarz wyznał w zaufaniu, że i on także w młodszych latach próbował służby u Apollina, ale potem żona... dzieci... domowy harmider... Trzeba było sławie dać za wygranę i schować talent tak głęboko, żeby go się nawet nikt nie domyślił.

Ex sekretarz wykładał młodszemu koledze sztukę życia, kładąc nacisk największy na konieczność unikania kobiet wogóle, a w szczególności „małżeńskiego jarzma.“

Były to wykłady bardzo pouczające; szkoda tylko, że odbywały się zawsze—przy butelce.

Tymczasem Wanda nic o tem wszystkiem nie myślała. Czuła wprawdzie, że w stosunku jej z Kazimierzem coś się zmieniło, i że nie będzie mogła bez pewnego zawstydzenia w oczy mu spojrzeć—nie przywiązywała jednak do tego wielkiej wagi.

Jak wszyscy ludzie, wyłącznie jednej idei poświęceni, była samolubna. Przytem sprawa wyjazdu tak silnie ją zaprzątała, że brakło jej poprostu czasu na zajmowanie się towarzyszem lat dziecinnych.

Pewnego razu spotkali się ze sobą na przechadzce. Wanda szła w towarzystwie panny Sabiny; idący naprzeciwko Kazimierz przyłączył się do nich. Z początku był nieśmiały i milczący; potem zaczął uśmiechać się ironicznie i bródkę w palcach skręcać.

Nagle zapytał cierpko:

— Kiedyż pani nareszcie wyjeżdża?

Ton zapytania był tak niezwykły, że obie kobiety zdziwiony wzrok podniosły na mówiącego.

— Możnaby sądzić, mój Kaziu, że zależy ci na tem, aby panna Dalewicz jak najprędzej X. opuściła.

— Rozumie się, że zależy! — odparł z miną prawie impertynencką.

— Dlaczego? — wtrąciła Wanda, uśmiechając się z pewnem zakłopotaniem.

— Chciałbym nie spotykać panny Dalewiczówny na przechadzkach.

— Dziwaczysz, Kaziu — rzekła siostra, nie wiedząc co o tem trzymać.

— Grzeczny pan dziś, aż miło! — odezwała się Wanda.

— Nie, jam tylko szczery.

— A więc... nienawidzisz mię pan?

— I to nie. Ja tylko... lękam się pani.

Zdziwienie kobiet rosło z każdą chwilą. Znały wprawdzie skłonność Kazimierza do przesady i deklamacyi, nie wiedziały jednak co go czyni w tej chwili drwiąco patetycznym.

— Czyście się posprzeczali?—szepnęła panna Sabina do ucha Wandy.

— Troszeczkę...—odrzekła tymże tonem kasyerówna.

— On to jednak wziął widać bardzo do serca.

— Nie wiem...

Prawdę rzekłszy, rzecz ta była dla Wandy obojętna.

— Bądź pan spokojny — rzekła zwracając do Kazimierza. — Wyjeżdżam niedługo, a powrócę—nieprędko.

— Bodajby nigdy.

Kasyerówna wzruszyła ramionami, i zaczęła rozmawiać z towarzyszką o czem innem. Kazimierz szedł obok nich, milcząc, kręcąc bródkę i uśmiechając się.

W tej chwili wyminął idących pomocnik aptekarza, w „garniturze“ koloru bardzo mlecznej kawy i w szafirowym krawacie. Ukłonił się zamaszyście i do kobiet słodko uśmiechnął. Jednocześnie wszyscy poczuli zapach essencyi różanej.

— Nasz przyjaciel z majówki—rzekła panna Sabina.

— Jak zawsze: piękny i pachnący—dodała Wanda.

Obie uśmiechnęły się.

Kazimierz na wspomnienie majówki spochmurniał.

— Tacy zawsze u pań łaskę znajdą—mruknął ironicznie.

— Bo grzeczni i usłużni—zauważyła żartobliwie panna Sabina.

— Jak pieski pokojowe — dokończył Kazimierz, marszcząc czoło.

W cienistej alei nad stawem było zupełnie pusto. Stanęli wszyscy na brzegu wody, aby przypatrzeć się pływającemu samotnie łabędziowi. Pozbawiony towarzyszki, z powyrywanemi przez swawolnych chłopców piórami, ze zwieszonym melancholijnie dziobem, osowiały, brudny i jakby śpiący, wyglądał nad zwyczaj smutno.

Nauczycielka odeszła, aby u przekupki stojącej przy bramie, kupić głodnemu ptakowi piernik.

Wanda stała w miejscu przypatrując się bezmyślnie łabędziowi, który do samych stóp jej podpłynął. Nagle usłyszała za sobą stłumione łkanie. Drgnęła i odwróciła się.

Stał za nią Kazimierz okropnie zmieniony, z obwisłemi bezwładnie rękami, z siną jak u trupa twarzą, po której łzy spływały. Pierś jego poruszała się gwałtownie; po ustach przebiegało drżenie.

Przestraszona podbiegła i za rękę go chwyciła.

— Co panu? Czyś słaby? Może wody?..

Nic nie odpowiedział.

— Zaczekaj pan—pobiegnę po siostrę...

Zatrzymał ją, słabo dłoń jej ściskając.

— Nnnic mi... nic!—z trudnością wyjąknął.

— Przestraszyło co pana? zabolało?...

Wskazał oczami staw.

— Ten łabędź... łabędź...

— Co łabędź?

— Taki biedny... taki sam... Ach! taki sam!..

Zlękła się naprawdę o jego zmysły.

— Niech pan usiądzie na ławce, proszę pana. Przyprowadzą siostrę. Siostra najlepiej panu pomoże.

Uścisk młodzieńca stał się silniejszym. Zdawało się, że pochwyciwszy tę drobną rękę o palcach wysmukłych, już ją na zawsze pragnie zatrzymać.

— Błagam panią, nie odchodź—rzekł mocniej.—Nie odchodź i nie odjeżdżaj.

Zrozumiała i uczuła trochę litości. Rumieniąc się, szepnęła.

— Myślałam, że pan już o tem zapomniał. Po co myśleć o rzeczach niemożliwych!

Zatopił w jej oczach spojrzenie przenikliwe i jadowite. Nie mogła wytrzymać jego wzroku i oczy spuściła. On długo tak patrzył, milcząc, a dłoń jego coraz słabiej rękę jej ściskała. Wreszcie rękę tę wypuścił, wyprostował się i, z widocznym wysiłkiem uśmiechnął.

Na tem wszystko się skończyło. Panna Sabina, która w tej chwili nadeszła z piernikiem, nie dostrzegła już ani śladu minionej burzy.

Kazimierz podprowadził kobiety aż do drzwi domu, w którym mieszkała jego siostra. Przez drogę milczał, a twarz miał nieruchomą, jakby martwą. Przy drzwiach złożył Wandzie ukłon obojętny i odszedł.

Kasyerówna zabawiła u nauczycielki do wieczora. Rozmawiały głównie o tak zwanej „kwestyi kobiecej.” Obie były żarliwemi wyznawczyniami idei równouprawnienia, różniły się jednak w pojęciach o jej zakresie.

Panna Sabina przez emancypancyę rozumiała tylko dopuszczenie kobiety do tych źródeł wiedzy, i do tych warsztatów pracy, które służą mężczyznom. Choć głośno o tem nie mówiła, czuła jednak instynktownie, że najbardziej samodzielna kobieta bez mężczyzny rady sobie nie da. Myśl o buncie i walce była jej przykra i straszna. Nie wywalczyć, ale raczej wyprosić chciała u ojców, mężów i braci trochę ulgi dla córek, sióstr i małżonek.

Te pokojowe idee nie zaspakajały Wandy. Ona czuła się poniżoną i skrzywdzoną przez ród męzki. Oczy jej żarzyły się jak węgle, gdy mówiła o przewadze i niesprawiedliwości mężczyzn, którzy na uczcie życia zjadają kąski najlepsze, a kobiecie każą zadawalniać się ogryzaniem kości.

— Skończy się to i skończyć musi—mówiła ze zmarszczką gniewu i zaciętości pomiędzy brwiami.—Ale kobiety przedewszystkiem muszą się pozbyć swego największego wroga—czułości.

Ciemno już było, gdy się przyjaciółki pożegnały. Wandę odprowadziła do domu służąca.

Szły szybko przez puste i ciemne uliczki, które tylko na rogach rozjaśniały latarnie naftowe kręgami brudno-żółtego światła.

W jednem miejscu usunąć się musiały na bok, aby dać przejście pijanemu. Szedł on silnie się zataczając, i naprzemian to poświstywał, to zgrzytał zębami.

Zrównawszy się z idącemi, potknął się i omal nie upadł na nie.

— To nasz młody pan — rzekła półgłosem służąca, do muru się tuląc. — On tera tak zawsze.

Kazimierz wyminął je, nie poznawszy.

— Dawniej był kawaler porządny, ale dziś to żyje przez nijakiego wstydu. Nawet w robocie się opuścił, i ciągiem od siostry pieniądze wyłudza. Wciągnęli go widać w kompanię pijacką, albo może wdał się z jaką...

Urwała i chrząknęła, przypomniawszy sobie do kogo mówi.

Wanda milczała, nie wdając się nigdy z zasady w rozmowy ze służącemi. Była za równouprawnieniem płci, ale nie stanów.

Jednak sługę język świerzbiał, i uważała za konieczne zrobić jeszcze następującą uwagę:

— Żeby dostał panienkę charakterną, toby z niego byli jeszcze ludzie. Ale tamta go zanędzi.

Wanda przyśpieszyła kroku. Chciała jaknajprędzej znaleźć się w domu, i nie słyszeć nierównych i potykających się kroków pijanego, które echa pustych uliczek wyraźnie powtarzały. Odgłos ten drażnił ją i przykrość jej sprawiał.

Tej nocy, przed zaśnięciem, doświadczyła dziwnego uczucia. Zdawało jej się, że w sercu jej woła coś wielkim głosem o ratunek dla człowieka ginącego.

Ale przypomniała sobje potrzebę zwalczania czułości i—spokojnie zasnęła.

Na placyku zarosłym pokrzywami stanęła pomiędzy panną a studentem umowa o pożyczkę i wyjazd. Potem unikali rozmów o tym przedmiocie, a głównie odosobnienia się, aby nie zbudzić w domu podejrzeń.

Od pewnego czasu stosunek kasyerowej do córki zupełnie się zmienił. Wanda, rzec można, zaimponowała matce swym nadzwyczajnym spokojem, Dalewiczowa zawstydziła się swych krzyków i łajań, i sceny podobne do ostatniej nigdy się już nie powtarzały. Jednak pomiędzy matką a córką daleko było do prawdziwej zgody. Kasyerowa czuła głuchy żal do córki, która wszystkie jej nadzieje zawiodła. Sama uosabiając przeciętny typ córki i żony urzednika, i w Wandzie widzieć go pragnęła. A to pragnienie musiało na zawsze pozostać nieziszczonem.

Inną różnicę wytwarzał pomiędzy niemi odmienny stopień wykształcenia. Pod tym względem, Dalewiczowa stała znacznie niżej od córki. Mięszało ją to nieraz i wprawiało w zakłopotanie. Uniosłszy się gniewem, wydrwiwała naukę córki; nie była jednak aż taką prostaczką, aby naprawdę nienawidzieć świata.

Zresztą nagrody córki pochlebiały jej ambicyi macierzyńskiej. Po objawach głośnego gniewu nastąpił okres cichych wymówek. Matka uskarżała się przed Wandą na brak sił, mówiła o potrzebie odpoczynku, dawała do zrozumienia, że w dorosłej córce powinna znaleźć wyręczycielkę. Ale Wanda była i na to najzupełniej głucha.

Przyszła ona do przekonania, że nawet przy najlepszych chęciach nie potrafi być praktyczną i gospodarną. Uważała siebie pod tym względem za istotę upośledzoną. Zawstydzało ją to, nawet potrosze martwiło, ale w końcu zgodzić się musiała z przeznaczeniem.

Probowała niekiedy brać do ręki igłę lub szydełko. Chciała pokazać matce i innym, że szycie i dzierganie nie są żadną nadzwyczajnością. Kończyło się to zawsze poplątaniem nici i zepsuciem materyału.

Kiedyindziej, przezwyciężając wrodzoną niechęć, brała się do robót gospodarskich. W domu Dalewiczów, słynącym z gospodarności, nigdy ich nie brakło. Przypasywała więc odważnie fartuch, brała do ręki książkę z przepisami gospodarskimi, i szła do kuchni marynować grzyby lub przyrządzać konserwy z owoców. Niebawem słyszeć się dawał brzęk tłuczonych naczyń, i wołanie o wodę i gałganek do skaleczonego palca.

W końcu próby zostały zaniechane. Wanda powróciła do książki i fortepianu, zrozumiawszy, że to jedyna właściwa dla niej sfera działania.

Co się tycze Dalewicza, nie doświadczał on zbytecznej troski o córkę. Przekonany, że raz na zawsze wybił jej z głowy myśl o wyjeździe, na resztę patrzył pobłażliwie i spokojnie.

Pod pewnym względem sprawiała mu nawet Wanda pociechę. Wiedział on, że zwykłą koleją rzeczy, spełnić się teraz muszą w życiu rodziny dwa ważne fakty: wyjście Wandy zamąż, i wypłacenie przyszłemu zięciowi posagu. Jakkolwiek przygotowany na jedno i drugie, pragnął tajemnie, aby zwłaszcza drugie jaknajbardziej odwlec się mogło. Spokojne usposobienie córki i jej wyraźna niechęć do odgrywania roli „panny do wzięcia“ pozwalały mu mieć nadzieję, że się tak właśnie stanie.

Szło więc wszystko w domu zwykłym trybem — składniej może nawet i przyjemniej, niż przedtem. Popiołek był jak zawsze wesoły, i prawił niedorzeczności, które nawet Dalewicza wyprowadzały niekiedy z urzędniczej powagi. Nie chciał on być zresztą wujostwu ciężarem, i praktycznymi podarkami utrzymywał równowagę domowego budżetu. Kasyerowej powróciło zdrowie wraz z humorem, gdyż nadzwyczajnie obrodziły śliwki i po bajecznie niskiej cenie czyniła zakupy. Przewidująca gospodyni spodziewała się, że uczyni zapas powideł i kompotów przynajmniej na dwie zimy.

Jedna Wanda nic nie zyskała ani straciła na humorze. Jak zawsze blada i zamyślona, ruchem automatu zabierała swe miejsce przy stole, mały udział przyjmując w uciechach i troskach rodziny.

Jednego dnia Dalewiczowie wybierali się w odwiedziny. Towarzyszył im Popiołek. Wanda oświadczyła, że zostanie w domu.

— Postanowiłam dziś uporządkować garderobę i bieliznę—rzekła do matki. — Chcę także zrobić trochę ładu między książkami.,

Matka z rozrzewnieniem pocałowała ją w głowę, zamiar ten pochwalając.

— Mam u siebie — dodała —bardzo wiele książek panny Sabiny; odesłać je muszę...

— Bardzo dobrze, moje dziecko. Pocóż z domu robić księgarnię.

— Do przeniesienia książek potrzebna mi będzie walizka.

— Może byłby lepszy kosz od bielizny?

— Do kosza trzeba dwóch ludzi; walizkę zaniesie jeden.

— Dobrze, weź walizkę. Tu masz klucz od schowanka.

Zostawszy samą, Wanda kazała służącej przynieść do swego pokoju dużą walizę podróżną. Potem zamknęła się i zaczęła pakować przygotowane zawczasu rzeczy. Zabrało jej to czas do samego wieczora.

Gdy już ściemniać się zaczęło włożyła ubiór podróżny oraz kapelusz z dużym, gęstym woalem. Zamknęła walizę i przywołała z ulicy chłopca, aby ją za nią zaniósł.

Bocznemi uliczkami udała się na pocztę, skąd o dziesiątej w nocy odchodził pociąg do kolei.

Dalewiczowie powrócili do domu przed jedenastą, i zdziwili się bardzo nie zastawszy córki. Zdziwienie zamieniło się w przestrach gdy wysłana po Wandę służąca wróciła z wiadomością, że jej tam nie ma i — nie było.

Już Dalewicz kazał przygotować dla siebie latarkę (nigdy bez niej nocą nie wychodził) aby udać się na poszukiwania, gdy zjawił się chłopiec, który odnosił walizkę.

Przynosił on list od Wandy, która przed godziną X. opuściła. List był krótki i zawierał tylko te słowa:

„Żegnam was, drodzy rodzice. Wyjeżdżam po naukę! bom poznała, że w niej tylko jest cel i zadanie mego życia. Nie gniewajcie się na mnie i o los mój nie kłopoczcie. O własnej sile kształcić się i pracować będę. Gdy osiągnę cel zamierzony, powrócę, a wówczas, jestem pewna, przebaczycie mi ten krok, którego po namyśle nie nazwiecie z pewnością nierozważnym.

Kochająca was córka

Wanda.“

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z seryi lirycznej.

Do ojca.

Trudno, mój ojcze! Obcy całkiem
Synowi twemu zysk, —
Nie zalśnić złota mu kawałkiem
On inny kocha błysk...

❀

W marzenia zaszedł kraj daleki
Twój marnotrawny syn, —
Gdzie zyski jego z mgły są lekkiej,
Z natchnienia—dźwięczny czyn, —

❀

Gdzie Bożej myśli, wiecznie żywej,
Niepokalany wdzięk,
Zkąd szczytne splatać mu porywy
W ojczystej mowy dźwięk...

❀

Roiłem kiedyś, że podporą
Twych starych będę lat,
Że cię podźwignie — choć niesporo —
Mój wymarzony świat,

❀

Że siwej głowie twej ojcowskiej
Nie marnej sławy szych,
Lecz cichy kupię byt bez troski
Za cenę natchnień mych...

❀

Że sam pić będę tylko czarę
Zgryzoty... Dola snać:
Dziś ciebie także na ofiarę
Tej sztuki muszę dać.

❀

Trudno, mój ojcze! dziś goryczy
Ten kielich ze mną dziel!
Ktoś kiedyś przecie nam policzy,
Że prawy święcim cel.

❀

Ktoś kiedyś przecie nas pocieszy,
By prawdzie wieniec zwić,
Że śród kupczącej tutaj rzeszy
Chcieliśmy ludźmi być.

❀

Żeśmy nad wszystko ukochali,
W najlepszych idąc ślad,
To słońce, które jeszcze w dali
Chrześciański znaczy świat.

❀

Błogosław, ojcze, moją lutnię!
Przeżegnaj ten mój kłos —
I syna, który tak rozrzutnie
Swój ziemski przegrał los!

❀

Tam—w wiecznem kiedyś spoczniem błogo,
I nasz odnajdziem próg, —
Tu, ojcze, muszę iść tą drogą:
Trudno!.. tak każe Bóg.

Józef Jankowski.

Malarstwo i rzeźba.

Nieobfity w dzieła pierwszorzędnej miary był tegoroczny plon sztuki. W ciągu całego roku widywało się na wystawach naszych tylko rzeczy średnie, mniej lub więcej poprawne, — pociągających niezwykłą potęgą nie było.

Minął okres, gdy dzień każdy niemal przynosił nową, niezwykłą zdobycz do panteonu naszej sztuki, gdy z pod pędzla Matejki, Siemiradzkiego, wychodziły coraz nowe, coraz potężniejsze kreacye. Dążenia młodych, którzy przyszli po tych mistrzach naszych, znalazły najsilniejszy swój wyraz w prądach Podkowińskiego. Ze śmiercią jego senność jakaś padła na obóz młodych. Żadnym wyskokiem rozszalałej fantazyi nie przerywają ciszy, nie budzą zachwytów jednych, i okrzyków oburzenia drugich. Jaśnieje na horyzoncie naszej sztuki dużo wspaniale błyszczących gwiazd, ale żadna „kometa pierwszej wielkości i mocy“ nie jawi się na nim.

Może rok nowy niezwykłą jakąś nowość nam przyniesie. Dotąd jednak minionej jesieni pozostałe plony, widniejące na wystawach naszych, tylko do kategoryi rzeczy przeciętnych policzyć można.

W Salonie Krywulta spotykamy na wstępie 40 krajobrazów Nałęcza. Krajobrazy pochodzą podobno z Norwegii, Szkocyi, Finlandyi, Bretanii, Szwajcaryi, a mają w sobie zabijającą jakąś jednostajność. Przeważa w nich brudnawo-fioletowa barwa i biała. Czy to zestawienie, czy wszędzie niemal jednakowe ugrupowanie skał, rodzą w widzu po pewnym czasie uczucie śmiertelnej nudy. W tych obrazach wszystko jest martwe. Brak życia, wypukłości, brak duszy.

Daleko bardziej interesującym jest Kurzwelly'ego „Fjord.“ Motyw podobny jak u Nałęcza, ale ciemna woda „fjordu“ ma tu jakąś tajemniczość, jakąś cechę żywiołu. Jest to fragment przyrody, nie zaś pomalowane na niebiesko lub fioletowo — płótno. Obraz tego samego artysty zatytułowany „Jesienią“ tchnie smutną poezyą płynącą z zestawienia ciemnozielonej barwy mchów, z melancholijnem złotem jesiennych liści—blasków płynącej po kamieniach wody, z ponurością omszałych skał. Jest tu ogromna harmonia, cisza przedzgonnych, bezbolesnych, ale smutnych chwil.

Wawrzeniecki dał kilka swoich „wrażeń,“ w których powtarza się satyr, nimfa, skały, krajobraz grecki.

W dziale portretów znajduje się doskonały portret p. M. T. pędzla Niewiadomskiego, i Mirandy portret Mickiewicza. Słyszałam, że na tym ostatnim wieszcz ma mieć wyraz mistyczny. Na mnie robi on wrażenie sennego nieco pastora niemieckiego, ale bynajmniej nie genialnego twórcy „Dziadów“ i „Pana Tadeusza.“

Interesującą osobliwością salonu ma być tryptyk niemieckiego malarza Waltenbergera. Tytuł ogólny trzech obrazów „Koniec świata.“ Już to salon w hotelu Europejskim nie ma szczęścia do obrazów zagranicznych ma-

larzy. Trudno doprawdy zrozumieć nawet, w jakim celu sprowadzane są tam te przeróżne „Krwawe hrabiny," „Sardanapale" i t. p.

Pomysł owego „Końca świata" oparty jest jak mówi objaśnienie, na hypotezie naukowej, według której koniec świata będzie wynikiem powolnego wygasania słońca i postępującego stopniowo oziębiania się kuli ziemskiej.

Pierwszy obraz przedstawia chwilę, gdy ludzkość uświadomiona o zbliżającej się dla niej zagładzie, wpada w orgie i rozpacz. Kłębią się ciała, *piękna* kobieta, mówi objaśnienie, szarpie jasne włosy. Ta kobieta chyba w ostatnim dniu będzie się nazywała piękną, gdy gust ludzi ulegnie zwyrodnieniu. Dla nas dziś jest ohydną. Twarz jakaś o okrągłych obłąkanych oczach, unosi się w powietrzu. Jest to widmo śmierci. Drugie widmo ze sztyletem w ręku stoi nad skłębioną gromadą, i spogląda na nią z urągowiskiem. Ma to być mściciel nieprawości ludzkich.

Na drugim obrazie wszystkie wody już zlodowaciały, ludzkość cała wymarła, tylko resztki jeszcze, niewiadomo czemu zawdzięczające przedłużenie życia, oczekują śmierci z rezygnacyą. Dlaczego są nadzy w tym okropnym klimacie—niewiadomo.

Trzeci obraz — to odkupienie, przebudzenie się do wiecznej wiosny. Ten ideał przyszłego życia przedstawił się niemieckiemu malarzowi w dziwny sposób. Całe tło obrazu pokrywają wieńce z róż. Wśród tych wieńców główki aniołków, jakaś matka tuli dwoje dzieci, jakaś para kochanków łączy się w szczęśliwej krainie. Wszystko to w opisie przedstawia się jeszcze znośnie, ale gdybyś czytelniku zobaczył koloryt! Róże są ceglaste. Przykry żółtawy ton panuje niepodzielnie. Doprawdy, jeżeli w tym piękniejszym, lepszym świecie, takie miałyby być róże, to szkoda tych naszych, z ziemskiego padołu, szkoda nawet tych drobnych dzikich, woniejących nad drogami! Tryptyk ten nagrodzono podobno złotym medalem w Monachium. Cedr sztuki niemieckiej, siekierą militaryzmu podcięty, nie może widać puszczać w tym czasie zdrowych i potężnych konarów.

W Towarzystwie zachęty nowości — niewiele.

Pełnym wdzięku jest obraz Bergmana „Pokłon." U chłopa w stodole objawiła się Matka Bozka. Siedzi z Dzieciątkiem, na sianie, a od skroni jej taka cudowna jasność bije, że całą stodółkę rozświeca. Chłop stary przykląkł przed cudownem zjawiskiem, i w Matkę Zbawiciela wlepił pokorne wieśniacze źrenice. Za nim gromadka kobiet, chłopców.

Zajmujące jest stopniowanie wrażenia na twarzach zgromadzonych. Znać, że nie dla wszystkich cud jest zarówno dostępnym. Im bardziej uduchowniona twarz, tem silniejszym na niej wyraz zachwytu, tem głębszem widać przeświadczenie o istnieniu zjawiska. Niektórzy dostrzedz go nie mogą. Podnoszą ręce do oczu.

Ciekawym efektem jest światło tego obrazu. Im bardziej oddalamy się od niego, tem tego światła wydaje nam się więcej.

Bardzo ładnym pomysłem jest „Bajka" Pstrokońskiego. Za mgłą na górze zamek, światła w oknach. Ponad wodą u dołu jakieś postacie, pewno dziewice rycerze... wszystko jak w bajce, jak za zasłoną mgieł.

Obraz historyczny Gersona zatytułowany „Witajże nam witaj miły hospodynie" jest mocno niehistorycznym. Kazimierz Odnowiciel w chwili powrotu do Polski nie był siwobrodym starcem. Wogóle obraz cały nie przedstawia żadnego interesu.

Kilka obrazków Pawliszaka pełnych życia, pociągających bogatym wschodnim kolorytem, świadczą o nieustającym rozwoju tego artysty.

Wśród rzeźb spotykamy kilka rzeczy zwracających uwagę. Szlifirza, „Judejczyk" ma niezmiernie wiele wyrazu. Jest tam smutek plemienia, nad którem fatalny zawisł wyrok i gniew, bunt przeciw fatalności wyroku. Tego samego artysty praca nazwana „Po grudzie," przedstawia wiejskiego chłopca, walczącego z trudnościami elementarza. W całej postawie jest tyle skupienia, tyle uwagi, tyle prawdy, że z rzeczywistą przyjemnością przypatrywać się można temu kamiennemu chłopcu.

Ładne są także grupy Zygmunta Otto, przedstawiające „Rzeźbiarstwo" i „Malarstwo," ale najpiękniejszym jest Wasilkowskiego „Człowiek pierwotny, kujący wyobrażenie boga Światowida." Jest w tej pracy myśl głęboka. Oto dusza ludzka wśród najcięższych warunków bytu, gdy ciało jeszcze nagie, zagrożone kłami zwierząt drapieżnych, bez dachu niemal i bez schronienia, dusza ta rwie się do ideału, ucieleśnia sny swoje o Bogu. Jest coś głęboko wzruszającego i bardzo świeżego w tem dziele.

H. C.

Psoty współczesnej prasy francuzkiej.

Tak mało budującej treści zawierają w sobie rubryki sprawozdawcze z posiedzeń sądów kryminalnych we Francyi, iż dział ten w wiadomościach naszych o Francyi i jej życiu wewnętrznem stale bywa pomijany. Zrobimy tym razem jednak wyjątek ze względu że fakt dotyczy kobiety, i że ta kobieta zmuszoną była przez zbieg okoliczności dochodzić krzywdy swojej samodzielnie—krzywdy, jaka ją spotkała ze strony, przekraczającej dzisiaj wszelkie granice, prasy paryzkiej. Oto jak się miały rzeczy:

W dniu 21 Września ubiegłego roku, podczas feryi parlamentarnych, niejaki Paulmier deputowany z Calvados, zamieszkały wraz z żoną i córką w Paryżu przy Avenue Niel, z okazyi rozgłośnej sprawy Dreyfussa napisał do ministra wojny list, w którym wyraża zapatrywania swoje na następstwa ciągłego i systematycznego ze strony prasy spotwarzania sztabu francuzkiego.

Czy miał ten człowiek za sobą słuszność, albo nie—czy upominanie się jego o wystąpienie przeciw obrońcom Dreyfussa było uzasadnione i umotywowane koniecznością — nie rozpatrujemy w tej chwili. Był deputowanym, zapewne dawnym żołnierzem, odnosił się do władzy w duchu zapatrywań swoich—reszta należy do sądu przyszłości, a wreszcie ze sprawą, o której mówić mamy, nie stoi to w związku bezpośrednim.

Minister w odpowiedzi polecił odrukować ów list, dla nadania mu, jak widać, możliwie szerokiego rozgłosu, i w istocie ukazał się on w chwili, kiedy pan Paulmier wraz z córką 17-letnią udał się do Calvados. W Paryżu pozostała tylko żona jego Walentyna Paulmier, urodzona Bouillant, wieku lat 40, bardzo jeszcze powabnej, jak mówi sprawozdanie sądowe, powierzchowności, zresztą osoba, na której dobrej sławie cień nawet podejrzeń dotąd nie zaciężył.

Można sobie wystawić, że ta kobieta uderzoną została niby gromem, gdy w parę dni po ogłoszeniu listu męża, odebrała numer paryzkiej „Lanterne," redagowanej w duchu przeciwnym zupełnie przekonaniom jej męża, i ujawnionym w owym liście zapatrywaniom jego na przebieg sprawy Dreyfussa.

W dzienniczku tym, charakteru skandaliczno rewolwerowego, spotkała się z artykułem podznaczonym pseudonimem „Moustou," w którym jej przeszłość i honor niewieści zszarzane zostały z wymienieniem imienia i nazwiska, nie dopuszczającem najmniejszych wątpliwości co do osoby. Nieszczęśliwa kobieta telegrafuje do męża, aby powracał do Paryża, telegram nie zastaje go w miejscu przez adres wskazanem, a gdy to wszystko ciągnie się przez dni kilka, kupuje ona rewolwer, nabija go, i z mocnem postanowieniem wyrządzenia sobie zadosyćuczynienia za potwarz, idzie do redakcyi dziennika.

Tu odgrywa się jedna ze scen, jaka zwykle ma miejsce między potwarcą-tchórzem a pokrzywdzonym, który nosi na twarzy wyraźne oznaki wzburzenia i determinacyi. Najprzód tedy ten, który się nazywa sekretarzem redakcyi, nie wie nic o artykule; nie wie kto go napisał, nie wie gdzie jest redaktor naczelny, kiedy powróci, czy wogóle przyjdzie do redakcyi dziś lub jutro—nic nie wie jednem słowem. Odsyłana p. Paulmier ciągle błądzi po ulicach Paryża, powraca za dwie godziny, potem za trzy godziny, a gdy spostrzega, że to są żarty, że ją mistyfikują tylko i szydzą z jej cierpienia w dodatku, dobywa rewolweru i posyła panu sekretarzowi kilka kul, które właściwie się należały temu jakiemuś przezeń osłanianemu p. „Moustou," poczem siada w redakcyi i każe o wypadku zawiadomić policyę. Uciekać nie myśli, usprawiedliwi ją prawo—jest tego pewna.

W ostatnich dniach Grudnia rozstrzygała się jej sprawa przed sądami. Prokurator Lombard nie bardzo nastawał w oskarżeniu swojem, adwokat Albert Danet bronił obwinionej wymownie; najwymowniej broniła uczciwej kobiety jej przeszłość bez plamy i jej chwilowy obłęd, powstały pod wpływem dręczącej myśli, że dziecku swemu dzięki tej potwarzy będzie musiała przekazać imię skażone. Sąd, przysięgli, publiczność — wszyscy byli wzruszeni, wszyscy przyznali jej w zasadzie słuszność.

Poszkodowany Olliwier, sekretarz redakcyi, który mając wnętrzności 8 razy przeszyte, cudem tylko uniknął śmierci, żądał w akcyi cywilnej odszkodowania 50,000 franków; przysądzono mu 15,000. Bezwarunkowo bez winy nie był i on, bo w każdym razie usługiwał

za pieniądze pismu bez żadnej moralności Najlepszy był ten „Moustou," autor artykułu, który się zwie w istocie Henryk Turot. W naiwności swego upodlenia przyznawał, że wysnuł z wyobraźni skandale życia pani Paulmier, ale sądził, że zniesławiając żonę najskuteczniej uderzy w męża.

To są rzeczy straszne—prawie nie do uwierzenia.

Sąd uwolnił biedną kobietę od odpowiedzialności. Wyrokowi takiemu przyklasnąć muszą nawet ci, którzy w zasadzie nie pojmują wcale samowolnego wymiaru sprawiedliwości. Cześć niewieścia stoi ponad wszelką formalistyką.

K.

Juliusz Zeyer.

Trzy legendy o krucyfiksie.

przełożył z oryginału MIRIAM.

I.

INULTUS

Legenda praska.

(Dalszy ciąg).

I zrobiło mu się smutno i tęskno. Myślał o wszystkich tych pieśniach, które w sercu mu kiełkowały, a milczały smutnie, jak ptaki w klatce, bo nie mogły wytrysnąć z przygniecionych piersi, na których skała klątwy i nieszczęścia leżała ciężko, ach! ciężko!—jak na całej ziemi jego rodzinnej. Jęczały tam te pieśni nienawiści, tysiączne te wykrzyki, łkały tam te treny nad klęską kraju, nad zgubą rodziny własnej, ale nie zdołały wcielić się w kształty, w słowa, bo w agonii tej ziemi oniemiał geniusz i każdy osobnik, w dobie owej żyjący, był odrętwiały, ogłuszony, skamieniały jak ona cała.

Donna Flavia posłyszała szept jego, mimo że był tak cichy.

— Jesteście poetą!—zawołała.—Tem lepiej, bo zrozumiecie mnie tem łacniej. Jest to rzecz nader ważna, to o czem chcę z wami, panie, pomówić.

Poeta czuł się teraz zupełnie swobodnym. Gdy szedł tak obok tej pięknej kobiety, zdawało mu się, że idzie z przyjacielem. Myśl o ulicznej przygodzie, która na niespodziane zaproszenie donny Flavii mimowoli czystą myśl jego przebiegła i wzburzyła, rozwiała się bez śladu. Szli, nic dalej nie mówiąc pod górę, stromą, pustą mroczną ulicą, nad której strzechami, niewyraźne kontury Hradczańskich klasztorów, pałaców i kościołów się rysowały. Zatrzymali się przed niewielkim domem o wysokim, pozałamywanym dachu.

Staruszek niosący latarnię, wydobył klucz, otworzył drzwi i weszli. Drewniane schody, z bogato rzeźbioną poręczą, wiodły na górę, na jedyne piętro. Na górze otworzyły się ciemne, pięknem okuciem zdobne podwoje, i wyszła stara kobieta, niezwykłych, surowych rysów twarzy, w czarnej szacie, z długim różańcem wiszącym od pasa aż do ziemi. Żółtawe, okrągłe, jak u ptaka nocnego, oczy jej zdawały się patrzeć w jakąś dal bezkreślną, i widzieć to, czego nikt nie widzi. W ręku trzymała wielki świecznik mosiężny z trzema woskowemi świecami. Pozdrowiła milcząco donnę Flavię.

— Placydo—rzekła ta—prowadzę sobie gościa. Daj nam jeść i pić.

Weszli do przestronnej komnaty, obwieszonej makatami flandryjskiemi. Wielki, ciężki, rzeźbiony stół dębowy stał w pośrodku; zresztą z wyjątkiem kilku wielkich krzeseł, nie było sprzętów w pokoju, tylko ogromny kredens, pełen starodawnych srebrnych i bronzowych naczyń i mis, zajmował ścianę między dwoma oknami. Poecie, który zamieszkiwał ubożuchną komórkę gdzieś w pustej dzielnicy, niedaleko baszt nowomiejskich, wydała się ta sala królewsko wspaniałą. Nie okazywał wszakże swego zdumienia i spuścił oczy na kobierzec, pokrywający większą część ceglanej podłogi. Donna Flavia wyszła z pokoju, prosząc go, aby usiadł. Placyda w milczeniu nakrywała stół, poruszając się jak we śnie, a stary ów mąż, który donnie Flavii towarzyszył—widocznie sługa domu, przysunął siedzenia i zapalił jeszcze trzy świece woskowe w drugim mosiężnym świeczniku.

Donna Flavia wróciła wkrótce. Zdjęła była płaszcz i miała teraz na sobie ciemno-żółtą suknię jedwabną, koło szyi tylko i rąk srebrem przystrojoną. Kasztanowate jej włosy, miękkie i bogate, układały się prosto a pięknie nad wspaniałem czołem; wielkie jasne oczy były niewymownie piękne, ale spojrzenie miały zimne.

— Siadajmy do stołu — rzekła i tak uczyniła.

Poeta siedział naprzeciwko niej, a stary mąż, który nie był wyszedł z pokoju, usiadł też przy stole.

— Gwidon — rzekła Flavia — zna mnie od dzieciństwa; podobnie jak Placyda, służył rodzicom moim i jest moim przyjacielem.

Starzec uśmiechnął się spokojnie.

— Niemy jest—rzekła cicho Flavia.

Nastała chwila milczenia.

— Więc nie słyszeliście, panie—jęła mówić donna Flavia—nigdy mego imienia? A mieszkam już przecie w Pradze cały szereg lat i powiadają mi, żem sławna. Ale wy, panie, nie słyszeliście może ani imienia Properzii de Rossi z Bononii, która była najsławniejszą rzeźbiarką włoską. Utwory jej są pełne siły i boskiej piękności. Widziałam je w Italii, jeszcze jako dziecię, i wówczas już przejęły mnie zachwytem. Później dały mi kierunek i podnietę na całe życie. Zostałam jak Properzia, rzeźbiarką.

Zamyśliła się.

— Czy dosięgnę kiedy jej wysokości?—rzekła cicho przed siebie.

Potem zwróciła się ku młodemu poecie.

— A wasze imię, panie?—spytała.

Zmarszczył czoło, w oczach jego rozlał się głęboki smutek. Nie odpowiedział zaraz.

— Nazywajcie mnie, pani, Inultus — rzekł wreszcie cicho.

— Inultus! Dziwne imię—powiedziała Flavia.—Inultus, to znaczy niepomszczony, czy niekarany? Myślę, że nikt, oprócz was, panie, tak się nie nazywa.

— A przecież—odparł Inultus — mógłby się tak każdy w tej nieszczęsnej ziemi nazywać...

— Ach! należycie, panie, do malkontentów—rzekła donna Flavia—tem lepiej.

Inultus milczał chmurnie. Ale wtem weszła Placyda, niosąc wieczerzę na srebrnej misie. Donna Flavia zapraszała Inulta łaskawie, aby jadł. Nie dotknął strawy przez dzień cały i musiał teraz walczyć ze sobą, aby się nie wydać nazbyt żarłocznym. Zapomniał na chwilę o wszystkiem, co go gnębiło; pił, i jadł bez troski, z wielkim apetytem, ale jednak umiarkowanie. Donna Flavia spożyła tylko nieco owoców.

— Zapal lampy w pracowni — rzekła po wieczerzy do Placydy.

A po chwili wstała, odgarnęła zasłonę, za którą ukazały się małe drzwiczki, i rzekła:

— Pokażę wam, panie, swą pracę i powiem, co mnie spowodowało, żem was do siebie zaprosiła. Pójdźcie.

Trzy wielkie lampy rozświecały głęboką ciemność komnaty, do której Inultus wszedł z donną Flavią. Płaskorzeźba z białego marmuru, przedstawiająca żonę Putyfara, gdy Józefowi płaszcz z ramion zrywa, jaśniała białością i krasą czarowną wprost naprzeciw Inulta. Było tyle potęgi namiętności i zara zem słodyczy w tem dziele, że Inultus osłupiał.

— To praca waszych rąk, madonno? — zawołał z uniesieniem.—O jak wielka jesteście, mocna i podniosła!

— Nie!—odpowiedziała.—To dzieło Properzii de'Rossi. Skopiowałam je tylko. Nie jestem tak wielka, mocna i podniosła, jak ona, ale zamiar mam, wiedzcie to, panie, większy, potężniejszy i podnioślejszy jeszcze, a wy możecie mi do urzeczywistnienia jego dopomódz.

— Ja? ja? — dziwił się Inultus. — W jakiż sposób mogę wam pomódz?

— Powiem wam, panie—rzekła.— Properzia de Rossi miłowała nieszczęśliwych, i umarła podobno ze wzgardzonej miłości. W tę oto postać żony Putyfara wcieliła całą swoją namiętność, całą swą rozpacz. Miłość dla śmiertelnika fatalnie przykuła ją do padołu ziemskiego. Ja wszakże, nie mając miłości dla żadnego mężczyzny i nigdy nie chcąc jej poznać, wzniosłam śmiało oczy ku gwiazdom, kędy nęcące widmo sławy nieśmiertelnej przebywa. Sława i sztuka są jedyną miłością i jedynym mym bogiem.

Podeszła do wielkiej białej opony, odgarnęła ją, i Inultus ujrzał wysoki krzyż drewniany, na którym wisiał Chrystus w naturalnej wielkości ludzkiej, z gliny ulepiony; był prawie już skończony, co się ciała tyczyło, tylko twarz była dotąd zaledwie w ogólnych rysach zaznaczona.

— Widzicie tu, panie, najwyższe me pragnienie i zarazem najwyższą mą rozpacz—rzekła Flavia. — Stworzyć umierającego Chrystusa w agonii takiej, aby każde serce zadrgać musiało, nie powiodło się dotąd ani pędzlem, ani dłutem żadnej ręce kobiecej, a o ile sobie przypomnieć mogę, nie dokonał tego ani żaden mąż. Wcielić w marmur tę olbrzymią

tragedyę Golgocką z całą prawdą życia, z całym dreszczem grozy, z całem jaśnieniem idealnej krasy — oto śmiałe marzenie mego żywota. Z urzeczywistnieniem tego marzenia pasuję się już dwa lata. Dwadzieściakroć zmieniałam twarz mego Chrystusa, i dwadzieściakroć gorzkom się rozczarowała. Nie wierzę w Chrystusa, dlatego nie może on się duszy mej zjawić, nie może się w sercu mem odzwierciedlić, nie mam tej korzyści wierzących, to też z mozołem muszę w wyobraźni swojej go szukać i tworzyć, i ścigać.

Inultus zadrżał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Życie wewnętrzne Włoch dzisiejszych

(Dalszy ciąg).

Jeśli po rzucie oka na warunki bytu wyższego i niższego duchowieństwa włoskiego, zajrzymy do etatów armii i marynarki, uderzy nas ta sama zupełnie wadliwość w rozdziale uposażeń. Podobnie jak tam, pensye wyższych oficerów rażą nadmierną wysokością swoją w zestawieniu z niższemi płacami oficerskiemi i nędzą szeregów—tak samo przedstawi nam się, jako wniosek zgubna strona metody, której wynikiem jedynym jest wytwarzanie w tych obu działach służby publicznej coraz szerszych zastępów proletaryatu intellektualnego. Szczegółami nie będziemy zajmować uwagi czytelniczek naszych, a to ze względu, że im obcem jest wszystko, coby tutaj mogło służyć jako skala porównań, i że wogóle dział ten nie obchodzi ich bynajmniej. Przejdziemy zatem do innych gałęzi pracy ludzkiej we Włoszech.

Pierwsze wejrzenie na ilość adwokatów grasujących na tej nieszczęsnej krainie włoskiej, wywołać musi koniecznie myśl, że ta niegdyś klasyczna ziemia sztuki, jest dzisiaj klasycznym gruntem dla pieniactwa. Armia adwokatów we Włoszech wzrastając ciągle, dobiegła potwornej w istocie cyfry 23,000 w roku 1898. Wziąwszy na uwagę, że usługuje ona 31-milionowej ludności, wypadnie nam 1 adwokat na 1,350 mieszkańców. Jest to poprostu okropne.

Jeden z najwybitniejszych członków włoskiej palestry A. L. Ferreri, utrzymuje, że połowa tego kontyngensu wystarczyłaby w zupełności na wszelkie rzeczywiste zapotrzebowania tej professyi w narodzie. Rezultatami więc nieuniknionymi takiego napływu jednostek do tej gałęzi pracy, jest w pierwszym rzędzie nędza całej niezmiernej ilości prawników pozbawionych klientelli, a w dalszym ciągu wysiłki tych ludzi, upędzających się za bytem na drodze podsycania najzgubniejszej z namiętności ludzkich, mianowicie żądzy pieniactwa. Ztąd też adwokat włoski dzisiejszy usprawiedliwia zupełnie tę definicyę gorzką, jaką dla stanu obrończego stworzył lord Brougham. Mówi mianowicie ten Anglik, że adwokat, to jest taki pan, który ocala twój majątek z rąk nieprzyjaciela, aby go przenieść do kieszeni własnej.

Niezależnie od niewątpliwego psucia się w narodzie moralności, na skutek wzmagającego się ciągle pieniactwa, oddziaływa palestra włoska na inną jeszcze sferę stosunków w sposób bezwarunkowo ujemny. Ponad zastępem całym mizernie wegetujących obrońców sądowych, podobniejszych tutaj do zbiorowiska pokątnych doradców, aniżeli do jakiejkolwiek korporacyi z ludzi nauki złożonej, króluje ograniczona wielce liczba osób, używających znacznej wziętości i ciesząca się stosunkowo olbrzymimi dochodami.

Są to wszystko adwokaci, ale adwokaci piastujący jednocześnie stanowiska senatorów albo deputowanych. Jeśli mówiono dawniej, że dzięki urodzeniu zyskać można dziesięć lat życia, to uczestnictwo w reprezentacyi narodowej starcza adwokatowi za dwadzieścia lat praktyki. Dzięki jednakże takiej dwoistości funkcyi, polityka przenika coraz bardziej do sprawiedliwości, tak, że już na kongresie narodowym prawników włoskich w Rzymie, dyskutowano konieczność rozdziału tych dwóch gałęzi służby publicznej, z których jedna wyklucza drugą najoczywiściej.

Od tych potentatów palestry, powróćmy jeszcze na chwilę do wegetującego w nędzy i poniżeniu tłumu obrońców sądowych. Tych honoraryа poczynające się od jednego lira, stwierdzają same przez się pewnik, że bez zajęcia ubocznego, albo rzucenia się na wszelkie bezprawia, egzystencya takich ludzi z rodzinami jest niemożebną bezwarunkowo. Dlatego też są między nimi bandy całe filutów, spekulujących fałszywemi markami, obliczających swoje zyski na usuwaniu jednych dokumentów urzędowych, podrabianiu innych — jednem słowem żyjących wyłącznie z bezprawia. Ci, którym honor nie dozwala poniżyć się w podobny sposób, cierpią nędzę, albo rozbiegają się po świecie za jakimkolwiek, choćby najmniejszym, i najmniej dla siebie odpowiednim zarobkiem. Dość jest powiedzieć, że na liście robotników przy nasypach ziemnych kolei Congo, figuruje 20 adwokatów włoskich.

Statystyka samobójstw szczodrze również w swoich rubrykach szafuje nazwiskami tych nieszczęśliwych.

Aforyzm Macchiavela o mnogości praw i ich wpływie na obyczaje, stosują dzisiaj do ilości lekarzy przewyższającej zapotrzebowanie danej społeczności. Jeśliby tak być miało, mówi margrabia P., w takim razie dla kraju mego zbliżałaby się chwila agonii. Okazuje się, ze statystyki roku ostatniego, że Włochy mają 22,000 lekarzy. Tak więc przecięciowo biorąc, przypada jeden lekarz na 1,400 mieszkańców, pamiętać jednak wypada, że Niemcy, które się mocno i oddawna już uskarżają na zbytnią ilość lekarzy, mają na każde 2,000 ludzi tylko jednego doktora. A są też miasta wielkie we Włoszech, w których jest jeden lekarz na 530 ludności.

Jaką jest ta klasa pod względem kwalifikacyi naukowych, możemy wnioskować w pewnej mierze ze sposobu prześlizgiwania się jej członków przy egzaminie, o którem była mowa wyżej — czem zaś jest sam jej byt materyalny, postaramy się przedstawić w główniejszych zarysach.

A więc najprzód wypadnie nam powiedzieć, że dziewięć tysięcy lekarzy funkcyonuje we Włoszech, w charakterze urzędników municypalności ze stałą pensyą, różnych kongregacyj miłosierdzia i innych tak zwanych „Opere pie.” Tego rodzaju stosunek lekarza do instytucyi, która go opłaca, zwie się we Włoszech: *condotta*. Jak im tam jest wszystkim zbiorowo, charakteryzuje to w dwuwierszu swoim poeta włoski Fusinato:

Arte piu misera, vita piu rotta
Non c'e del medico che va in condotta.

Moglibyśmy poprzestać na tem smutnem określeniu, ale dodamy doń kilka jeszcze szczegółów, aby dać czytelnikowi w przybliżeniu chociażby pojęcie o tych nędzach, w jakich bytuje dzięki własnemu zaślepieniu proletaryat intelligencyi. Otóż i ta „condotta“ bywa jeszcze rozmaita. Są warunki, w których lekarz obowiązany jest udzielać pomocy tylko ubogim gminy, i w takim wypadku pensya jego wynosi od 1,000 do 2,000 lirów rocznie, w innych gminach ustanowiona jest t. zw. „condotta piena“ i wówczas lekarzowi nie płaci pacyent żaden, a wszyscy bez wyjątku mają prawo do jego starań wzamian za przeciętną płacę roczną 2,000 do 3,000 lirów. Nadmieniamy jeszcze, że w ogólnej cyfrze 9,000 zakontraktowanych lekarzy, jest takich połowicznych niewolników 3,000, pozostałe 6,000, to niewolnicy zupełni.

Chcąc objaśnić, czem jest los reszty 13,000 lekarzy, z wyjątkiem rozumie się ludzi wielkiej opinii i znacznego powodzenia w swoim zawodzie, musielibyśmy przedstawić czytelnikowi wierny obraz powszechnej nędzy na ziemi włoskiej—nędzy zmuszającej do obchodzenia się bez pomocy nauki w przeważnej liczbie wypadków, a zarazem dać na przykładach pojęcie o tem, do czego popycha słabsze charaktery brak i upokorzenie. Ponieważ przechodzi to zakres naszej pracy, ograniczyć nam się wypadnie do przytoczenia w treści przynajmniej zapatrywań profesora Casati na stan moralny i materyalny adeptów professyi lekarskiej w jego kraju. Ubolewa włoski uczony gorzko nad poniżeniem swego zawodu, mówi, że giną już ślady nawet, wielkich tradycyi godności, przestrzeganej tak surowo w korporacyi lekarskiej, natomiast słucha świat cały ze zgorszeniem coraz częstszych przed kratkami sądowemi rozpraw w procesach karnych przeciw lekarzom i chirurgom, bo wytwarza się nicość zupełna moralności podstawowej zawodu, tak niedawno jeszcze używającego powszechnego szacunku.

Jeżeli mniej jest stosunkowo doktorów jak adwokatów, zostających pod zarzutami kryminalnymi, za to opłakanie prawdziwie przedstawia się ich udział w statystyce obłędów umysłowych, samobójstw, i w niebywałej dotąd ilości uciekających się do środka ostatecznego wszystkich nędz—do emigracyi.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Z konkursów.

Ostatni zeszłoroczny numer „Prawdy," ogłasza konkurs, którego treść ogłosiły już pisma nasze codzienne. Warunki konkursu podajemy poniżej.

Nadsyłane utwory poetyczne, jako całość, mają obejmować nie mniej, jak 500 wierszy. Mowa jest zatem o poemacie, który może być zarówno: opisowej, lirycznej, albo fantastycznej osnowy.

Treść dowolna, byle temat był swojski.

Wyłączonymi są od konkursu bezwarunkowo utwory już drukowane.

Ostateczny termin nadsyłania utworów do Redakcyi „Prawdy" jest 1 Czerwca 1899 roku. Do pracy dołączoną ma być zamknięta koperta, mieszcząca nazwisko autora. Utwór nagrodzony pozostaje własnością autora. Sąd konkursowy składają: Antoni Gustaw Bem — Stanisław Krzemiński—Ignacy Matuszewski—Wacław Sieroszewski—Leopold Meyet—Aleksander Świętochowski i Stefan Żeromski.

Nader osobliwy konkurs ogłasza redakcya „Wędrowca." Ubiegać się o nagrodę mogą ludzie podejmujący się zawrzeć historyę Polski w 1,000 (wyraźnie tysiącu) wyrazach. Rękopisy oceniać będą: Tadeusz Korzon, Stanisław Krzemiński i Adam Pług. Nagroda wynosi rs. 100, ale może być podzieloną w razie potrzeby na dwie pięćdziesięciorublowe.

Z uwagi, że bez bliższego objaśnienia obejść się nie mogło to wezwanie, podaje redakcya „Wędrowca" tej treści komentarz dla chcących sięgnąć po owe 100 rs. Przytaczamy go dosłownie:

„Każdy zrozumie, iż od autorów pragnących wziąść udział w tym konkursie, nie wymagamy więcej nad streszczenie i to najzwięźlejsze tych tylko wydarzeń historycznych i cywilizacyjnych, które miały dla losów naszego narodu znaczenie pierwszorzędne. Naturalnem więc jest, że dzieje bajeczne i niepewne, aż do czasów Mieczysława I mają być pominięte, a rzecz doprowadzona tylko do 1815 r. Fakta powinny być przedstawione nie w sposób notatek chronologicznych, ale w związku wzajemnym i ciągłości z uwydatnieniem ich ważności dziejowej. Forma literacka dowolna — powinna jednak odpowiadać wysokości zadania."

W dalszym ciągu znajdujemy jeszcze kilka słów usprawiedliwienia pomysłu, a to z uwagi, że taki sam konkurs przed kilku laty ogłoszony był z pomyślnym skutkiem w Paryżu na napisanie historyi Francyi, a w Pradze na takież streszczenie, a raczej zkondensowanie historyi narodu czeskiego.

Może byłoby coś niecoś do powiedzenia o idei samej podobnych konkursów, ale w danym wypadku nazwiska sędziów konkursowych u nas, wymienione na początku, zamykają nam usta.

Zdrowie publiczne.

Rada miejska dobroczynności publicznej upoważniła nadzorcę domu wychowawczego do otworzenia w odpowiedniej miejscowości kolonii letniej, mającej na celu polepszenie zdrowia wątlejszych wychowańców. Jednocześnie utworzyła taż Rada specyalną komissyę, której zadaniem ma być obmyślenie środków, celem urządzenia domu zdrowia dla suchotników. Jak wiadomo leczenie przewlekłych z natury chorób piersiowych wymaga specyalnych urządzeń, których nie posiadał szpital Dzieciątka Jezus dotychczasowy, i które nie mieszczą się w programie przyszłego szpitala na folwarku Świętokrzyzkim. Będzie zatem sanatoryum podobne koniecznie wyniesionem poza obręb murów miejskich, a przedsięwzięcie samo przedstawia się dzisiaj jako kadry dla przyszłej instytucyi jedynie, mowa jest bowiem na teraz tylko o 20 chorych.

Na posiedzeniu sekcyi hygieny ludowej dr. Chełchowski odczytał referat o szczepieniu ospy ochronnej w Królestwie Polskiem. Według danych statystycznych, około miliona ludzi nie ma u nas dotąd szczepionej ospy, skutkiem czego śmiertelność przy epidemii robi spustoszenia prawdziwe. Najujemniej zanotowane są w wykazach niektóre powiaty gubernii Warszawskiej, Suwalskiej i Piotrkowskiej. Oprócz nacisku wywieranego przez administracyę i jej organy, ma tu do zrobienia coś niecoś i gorliwość jednostek. Każdy człowiek rozumiejący doniosłość klęski, winien tu robić, co w jego siłach, aby skłaniać upornych i ciemnych do stosowania w rodzinie tego zbawczego środka prezerwatywnego.

Dar.

Donosi „Słowo," że przewodniczący w jednej z tutejszych instytucyi pan W. zawiadomił warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, iż w celu uczczenia pamięci zmarłej swej córki, pragnie złożyć 10,000 rs., od których procenty byłyby obracane na wsparcia niezamożnych panien wyznania rzymsko-katolickiego — sierot pozostałych po artystach dramatycznych, malarzach, muzykach, rzeźbiarzach i literatach. Dla bliższego porozumienia się w tej sprawie z ofiarodawcą, Towarzystwo Dobroczynności wydelegowało jednego ze swoich członków.

O abażurach.

Kobiety są w pomysłach niewyczerpane. Podziwiać trzeba jak z bibułki nikłej naprzykład, powstają w ich rękach cacka tak prześliczne, pełne gustu i wytworu, że niewiedzieć z której strony to harmonijne zestawienie podziwiać wpierw. Dzięki temu, zwyczaj używania abażurów tak wszedł w modę, iż się stał niezbędnym w każdym domu, prawie wyobrazić sobie nie możemy dobrze umeblowanego salonu, bez tego gustownego dodatku, ani buduaru kobiecego, bez gorących refleksów pąsowego abażuru. Dla tych to właśnie refleksów, które pokojowi nadają miły jednostajny koloryt, rozrzucając w głębie coraz mniej zabarwione półcienie, takie zyskały powodzenie ogólne. Ileż każdy pokój zyskuje na tem świetle wieczorem; nie każdy salon bywa wykwintnym, przyciemnione oświetlenie zakrywa nieświeżą tapetę, meble stare, wypłowiałe nabierają życia (a i kobiety nie lubiące czasem światła bystrego żarowej lampy korzystnie odbijając, nabierają wesołości i dobrego humoru).

Podziwialiśmy w przeszłym roku na wystawie pracy kobiet wielkie bogactwo i wytworne wykonanie całego szeregu abażurów; każdy z nich specyalnie nas zachwycał. Nigdzie zagranicą chyba nie zdarzyło się spotkać nikomu takiej ilości, tyle wdzięku, estetyki, smaku i oryginalnych pomysłów w łączeniu kolorów. Niektóre abażury przybierane malowanemi falbankami, kwiatami, wyglądały jak najpiękniejsze suknie balowe. Jest to przemysł specyalnie warszawski i oddać trzeba paniom pracującym, że są pomysłowe, i gustu mają dużo! Wszakże myśl praktyczna nasuwa się mimowoli. Ceny bibułkowych abażurów są stosunkowo dosyć wysokie, bo pracy przy nich dużo; czemu więc wybieracie panie materyał tak niepraktyczny; kurze niszczą nietrwałe kolory, wilgoć szkodzi, niebaczne rzucenie zapałki lub papierosa, i wszystko skończone. To też Niemki są przezorniejsze; nigdzie w Wiedniu i Berlinie nie spotyka się abażurów bibułkowych, bo i tam dziś do lamp narożnikowych, wysokich, nie używają kloszów; otóż wszystkie abażury są z bardzo tanich materyi jedwabnych, niezmiernie lekkich; nie są one może tak świeże i jeżące się, ale o ile trwalsze. Cena jest prawie ta sama; w Warszawie, gdzie wyroby jedwabne droższe, może to pewną różnicę stanowić będzie, ale dłużej cieszyć się niemi można. Za to o ile więcej wykwintu w przybraniu zewnętrznem pozwolić sobie można, przybierając koronkami, w kokardy wstążkowe, wyszywając pailletkami, paciorkami. Kolory jedwabiów są silne i rzucają światło mocniejsze. Pięknym był abażur w dwóch narożnikach salonu na wysokich lampach, w kolorze „eminence," czerwono-fioletowy, światło stłumione przypominało elektryczne. Wierzch pokryty wolantem blondynowym, wyszyty był srebrnemi pailletkami, nic przy słońcu nie tracił, rzucając błyski metalowe, efektowne.

Może panie przekonają się, robiąc pierwszą próbę, że rada jest praktyczną i słuszną.

Z. A.

Wskazówki i rady.

Śledzie wędzone w oliwie.

Wędzone śledzie sparzyć ukropem na dwie minuty, nie dłużej, następnie nalać zimną wodą na 6 godzin, obrać ze skórki, wyjąć kość środkową, a same grube długie kawałki od grzbietu ostrożnie obrać i układać w puszki blaszane lub słoiki szklanne wysokie — nalać dobrą nicejską lub prowancką oliwą, zawiązać papierem albuminowym, a będą wyborną zakąską po wódce. Trzymać je można w zimnej śpiżarni kilka miesięcy.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

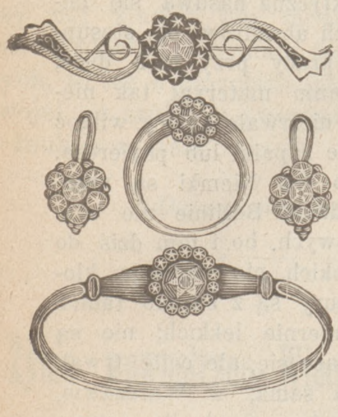
Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 *Jerozolimska 72* 1004—50-8

SKŁAD MEBLI
Majstrów Stolarskich
A. KLIPPEL i S-ka
ulica Erywańska № 9. 987—25—7

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-50-23
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ✤ ROBERT WILCZYŃSKI
810—50—48 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.



Elegancki złoty garnitur
56-ej próby.

Bransoletę, pierścień, i parę kolczyków, osypanych dokoła amerykań. imitacyjnemi brylantami, nieodróżniającemi się ogniem od prawdziwych, po środku imitacja **ametyst, szafir, rubin, szmaragd, topaz** lub **turkus**, jestem w możności sprzedawać, dzięki wielkiemu zbytowi, zamiast po **18** i **20** rs.

tylko za 12 i 15 rub.

Z takąż samą zaś broszką o 3 r. 50 kop. drożej.

Wysyłam w eleganckiem atłasowem pudełku (etui) po otrzymaniu 2 rs. zadatku.

Adres: ***M. GOLDENBERG*** Warszawa.

Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-23

MAGAZYN MEBLI
Bracka Nr. 25.
oraz
Zakład Tapicersko-Dekoracyjny
Leszno Nr. 24.
ANTONIEGO STRÓMIŁO
przyjmują zamówienia na całkowite urządzenie Apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych. 1026-52-6

„PRIMUS"

Kuchenki naftowo-gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielające odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Swiat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—21

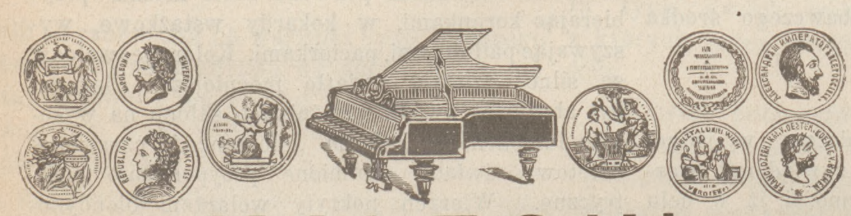
S. KRZEWSKI i K. PŁODOWSKI
dawniej
M. SZYMAŃSKI
Skład Towarów Żelaznych i Galanteryjnych
w Warszawie, Senatorska № 10
poleca: **Naczynia kuchenne i gospodarcze oraz wszelkie narzędzia.** 913-28-4

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-22
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 1



Skład Fortepianów i Pianin
K. O. FIEDLER
Warszawa, 64 Nowy Swiat 64.
Częstochowa 2-ga Aleja dom W-go Bessera
Sprzedaż na raty i wynajem
na składzie fortepiany: Blüthnera, Bekkera i innych
Pianina od rub. 300 z poręczeniem.
Przybory do fortepianów 1009-12-11

Złoto, Srebro i Brylanty
kupuję, wykupuję z lombardów (większych) **i płacę najlepiej,** 994-12-7
Biżuteryę, Wyprawy srebrne nowe i odnawiane sprzedaję najtaniej, bo w mieszkaniu.
59, Nowy Swiat 59 m. 5
HENRYK JUWILER.



MAŁECKI
Fabryka Fortepianów i Pianin
Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—35
17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Egzystująca od 1893 r.
PRACOWNIA OKRYĆ DAMSKICH
i wierzchów do futer 1024—10—6
Michała Kmita
w Warszawie, Krakowskie Przedmieście Nr. 69.
Przyjmuje wszelkie obstalunki z własnych i powierzonych materyałów i wykonywa takowe podług ostatnich żurnali **modnie, dobrze, niedrogo i na czas ściśle oznaczony**

Nowootworzony skład dywanów ***ul. Erywańska 14.***
p. fir. K. KRUSZYŃSKI i L. MICIŃSKI. 1028-52-6
poleca: wybór firanek, obić meblowych chodników i t. p. po cenach nizkich.

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.
Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—25
Wysyłka na prowincyę.

Klementyna K. b. krojczyni magazynu W-ej D. Kurdelskiej, wykończa wszelką krawieczczyznę damską starannie i niedrogo. 1001-12-12
Ogrodowa 19 m. 14



K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—23

Przygotowanie i sprzedaż dozwolona na ogólnych prawach handlu Warszawską Radą Lekarską za № 2022.
„DENTOL"
Proszek do zębów
wynalazku
W. Tomczyńskiego
Denthol nie ściera emalji, nadając biały kolor zębom, zapobiega próchnieniu, oraz dezynfekuje jamę ustną. 1036-12-5
Główny Skład
Warszawa, ulica Leszno Nr. 28.
Żądać w aptekach i w Składach aptecznych.

Maurycy Lepersohn
Dzika 16 m. 16.
Wykwalifikowany za granicą, poleca wykonane akuratnie podług najświeższych fasonów
Okrycia Damskie i Wierzchy do futer.
Tak z własnych jak powierzonych materyałów
1003-12-11

„SŁOWO"
DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, LITERACKI, EKONOMICZNY
I HANDLOWY
wychodzi codziennie prócz świąt w Warszawie
pod redakcyą
Mścisława Godlewskiego
przy udziale pierwszorzędnych pisarzy polskich

„SŁOWO" powiększyło swój format w r. b. o 1/3 dotychczasowej wielkości, bez zmiany warunków prenumeraty.

Oprócz zwykłych rubryk codziennych i artykułów wstępnych oraz korespondencyi z całego świata, **„SŁOWO"** zamieszcza codziennie **dwa feljetony:** naukowo literacki i powieściowy.

W 1899 r. w feljetonie powieściowym „SŁOWO" drukować będzie przedewszystkiem dokończenie wielkiej powieści jubileuszowej.

Henryka Sienkiewicza
p. t.
„KRZYŻACY."

(Nowoprzybywający od Nowego Roku prenumeratorowie „SŁOWA" mogą otrzymać początek **„Krzyżaków"** (sześć części) za dopłatą **1** rs.)

Następnie w tece feljetonowej „SŁOWA" znajdują się: ***Elizy Grzeszkowej*** nowela **„PORCELANKA,"** powieść ***Wincentego Kosiakiewicza*** p. t. **„HALLALI!"**, powieść ***Artura Gruszeckiego*** p. t. **„NAWRÓCONY,"** powieść ***Maryana Gawalewicza*** **„KLIN"** i inne.

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: Rocznie rs. **9**, półrocznie rs. **4** kop. **50**, kwartalnie rs. **2** kop. **25**, miesięcznie **75** kop. Za odnoszenie do domu dopłaca się **5** kop. na miesiąc.
z przesyłką pocztową: Rocznie rs. **12**, półrocznie rs. **6**, kwartalnie rs. **3**.
Za granicą: Rocznie rs. **14** kop. **50**—**40** frank—**19** guld.—**32** marki.
Półrocznie **8**—**22** fran.—**10** guld.—**17** marek.
Kwartalnie **4** rs.—**12** fr.—**5** guld.—**9** marek.
Miesięcznie **1** rs. **50** kop.—**4** fr.—**2** guld.=**3** marki.

Adres Redakcyi i Administracyi „SŁOWA"
Warecka 15 w Warszawie.

Po gruntownem odnowieniu i rozszerzeniu interesu.

Specyalna Pracownia i Magazyn BIELIZNY Męzkiej, Damskiej i Dziecinnej! **E. Z. ANUSZEWSKIEJ**
Marszałkowska 91.

Poleca **Bieliznę** własnego wyrobu odznaczającą się wyborem **krojem, trwałością i nizkiemi cenami**, przyjmuje zamówienia na całkowite wyprawy z własnych i powierzonych materyałów. 1005—12—10

Дозволено Цензурою Варшава 30 Декабря 1898 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**

Edmund Chojecki.

ALKHĄDAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Może wspólny jaki znajomy spotkał ją na przejażdżce, może doniósł,—może on sam spostrzegł ją gdzie zdaleka?... Cóż znaczy jeden dzień, zwłaszcza, gdy wkrótce drugiego zaświta jutrzenka? Jutro tak bliskie!... Dziewczyna swobodnie usnęła z jutrem na myśli, z jutrem na ustach.

Nazajutrz wstała późno; jak dla niej zawcześnie. Kilka godzin rozdzielało ją od chwili, w której dobrze znajome kroki zwykle dawały się słyszeć na schodach. Na nieszczęście, były to z całego dnia najdłuższe godziny; każda z nich nieskończoność zawierała tych, jakie zbiegały w towarzystwie z Kazimierzem.

— Ach cztery śmiertelnych godzin!—mówiło dalej w duchu dziewczę, rzucając na zegar zafrasowane wejrzenie. Cztery!... niezupełnie, mniej kwadransem; wreszcie może dziś wcześniej nadejdzie. Trzy godzin, nie więcej. Niech tylko jedna upłynie, drugie dwie w okamgnieniu ulecą. Trzeba zabić nieprzyjaciółkę!

Ha! zwój nowych nut świeżo przysłany z Wiednia. Trzy sztuki; na każdą po dwadzieścia minut. W nagrodę za wczorajszą nieobecność, usłyszy nową muzykę.

Uderzyła w klawisze. Czarowna melodya wionęła, zabrzmiały poważne dźwięki; Marya do każdego z nich niemal uczepiała jakieś wspomnienie razem spędzonych chwil. Wkrótce, zapomniała już spoglądać ukradkiem na zegar, pozwoliła porwać się uroczym falom harmonii, bezwiednie dawała ogarniać się wszechwładnej potędze sztuki, gdy w tem skrzypnęły drzwi i wszedł jej ojciec.

Sokolnik przybrał teatralną postawę: ponury dramat wyglądał mu z oczu; uroczysty i posępny, niósł wyraz twarzy księdza, który idzie spowiadać skazanego na śmierć.

Stanął we drzwiach, i utkwił w córce wzrok osłupiałej, grobowej boleści.

Miał wreszcie ku temu potrzebną bladość; noc całą przepędził na rozmowie z kapelanem; po godzinnym spoczynku znowu kazał go był przywołać, i zatrzymał u siebie aż do rozejścia się z Ojcem Zefirynem.

Niezwykły ten widok gromem uderzył Maryę.

Przerwany, ucięty akord skonał ze zgrzytliwym oddźwiękiem; dziewczyna zerwała się, odepchnęła krzesło, postąpiła kilka kroków ku ojcu, i stanęła jak wryta.

Pierwszy raz w życiu widziała tak gwałtowną zmianę rodzicielskich rysów.

Sokolnik zbliżył się powoli; w milczeniu, złożył na jej czole patriarchalny pocałunek, i czule do piersi ją przytulił.

Marya zadrżała.

— Wielki Boże! — rzekła po chwili, podnosząc ku ojcu strwożone źrenice — cóż się takiego stało?... nieszczęście w naszym domu?

Magnat powtórzył dozę pocałunku i uściśnienia, posadził córkę na kanapie, sam obok niej usadł i rzekł:

— Dzięki Bogu, nie stało się dotąd żadne nieszczęście; spotyka nas lekka przeciwność, nic więcej. Dotknięci jesteśmy w osobie jednego z przyjaciół naszego domu, mam atoli nadzieję, że złe z łatwością da się naprawić.

— Na miłość Bożą, mój ojcze!... nieszczęście!... przyjaciel naszego domu...

Zatrzymała się; Sokolnik spuścił oczy.

— Pan Kazimierz! - zawołała rażona niewieściem przeczuciem.

— Wymieniłaś go moje dziecię—odparł magnat z westchnieniem.

— Cóż więc, czy zabił się?... czy umarł?... przez litość, mów mój Ojcze!

Marya konwulsyjnie ściskała mu rękę.

— Bądź spokojną moja luba, żyje, zdrów; przysięgam ci — mojem nawet zdaniem niema o co się troszczyć, ale każdy ma swój sposób widzenia. Wszystko opowiem, przyrzeknij tylko, że spokojnie wysłuchasz. Naprzód wyznam, że jego samego nie widziałem, że powtarzam co mi doniesiono z miasta. Według tego, com słyszał od naocznych świadków, pokazuje się, że Kazimierz wczoraj, na obiedzie, spotkał się z Wilczkiem. Kuzyn nasz, podochocony jak to często się mu zdarza, wszczął z nim żywą nieco rozmowę. Poraj, zaprzątnięty ważniejszemi zapewne myślami, zbywał go obojętnie, aż nareszcie znudzony natarczywością trzpiota, rzucił mu kilka cierpkich odpowiedzi.

Od słowa do słowa, przyszło do zaciętej kłótni.

Kazimierz, którego znaliśmy tak łagodnym, spokojnym, dobrze wychowanym, wpadł, o ile mi zaręczano, w nieopisany napad uniesienia i wyrzekł wyrazy, które najcierpliwszego do głębi byłyby oburzyły.

Na nieszczęście wiesz dobrze, że cierpliwość jest najsłabszym przymiotem Wilczka. Przywiedziony do ostateczności, rozszalały wpływem gęstych kielichów, stracił głowę, i w przystępie ślepej zaciekłości porwał oburącz laskę bilardową i rzucił nią w przeciwnika. Obecni wpadli pomiędzy zwaśnionych, inaczej nie wiem, na czem zwada byłaby się skończyła. Wczoraj wieczorem pogłoska gruchnęła po mieście; dziś nikt o niczem innem nie mówi. Krzyżują się tysiączne zdania; tysiączne sądy biegają po ulicach, wszyscy oczekują wypadku zajścia.

— Pojedynek, mój ojcze — niezawodny pojedynek!... — zawołała Marya, tuląc twarz w dłonie. — Kuzyn mój Władysław wszystkiemu winien. Oddawna, zewsząd skarżą się na niego; nikomu nie daje spokoju, on pierwszy zaczął! Pan Kazimierz — jestem pewną, bronił się tylko przeciw napaści.

— Nie do nas sądzić kto zbłądził, kto niewinny—odparł poważnie Sokolnik—być może, że Wilczek jedyną złego przyczyną; nie o to teraz chodzi. Lękam się, aby popełnione szaleństwo nie pociągnęło za sobą równie szalonych skutków. Młodzież nasza, zdaje się, że na wieki wzięła rozbrat z rozumem; za lada drobnostkę porywa się do broni, naraża, traci życie, które często nie do niej samej należy. Żałoba i boleść spadają na rodziców, na krewnych, na przyjaciół, czasami na jedną ale stokroć droższą osobę. Rady starszych wiekiem i doświadczeniem, nikt słuchać niechce. Zapaleńcy gardzą głosem rozsądku. Napróżno dowodzić, że najszlachetniejszą wygraną jest zwycięstwo nad samym sobą, że marnotrawstwo własnej krwi jest bezbożnym grzechem przeciw Bogu i ludziom, że człowiek niezasłużenie napastowany tyle na godności i sumieniu powinien czuć się dotkniętym, ile ten komu na głowę spadłaby dachówka.

— Cokolwiek pan Kazimierz postanowi — mówiła drżącym głosem dziewczyna — będzie postanowionem dobrze i prawdziwie.

— Niekoniecznie! — przerwał magnat. — Przed kilkoma miesiącami, Poraj mógł namyślać się i wahać; dziś zmieniły się okoliczności. Dziś nie pora mu upędzać się przedewszystkiem za uczynieniem zadość światowym przesądom, za okupieniem ceną życia wygórowanego uczucia własnej godności. Kazimierz nie o siebie tylko dbać powinien; mówię tu jako ojciec, przecież i twoje szczęście mnie obchodzi: Gdyby rzeczy nie były między nami tak daleko zaszły, prędzej może przystałbym na zakończenie zwykłym trybem przeklętego zajścia. Kazimierz nie może zapominać, że w ostatecznym razie, brat jego, krewni, przyjaciele, łatwiej znieśliby straszny jaki wypadek, podczas gdy ty biedne moje dziecię... jedna łza twoja więcej warta od opinii całego świata.

Marya zwróciła wzrok na ojca, zwolna podniosła się z kanapy, blade jej lica płonęły rumieńcem. oko zabłysło dziwnym zapałem; stanęła nie pognębioną już na duchu dziewczyną, ale dumną i silną kobietą, prawą dziedziczką tej sławy przodków, której wspomnienie Sokolnik dochowywał na guzikach tylko swojej liberyi.

Krew polskiej niewiasty zawrzała jej w żyłach, owładło ją uczucie silniejsze nad wszelką rozwagę, wyciągnęła drobną dłoń ku ojcu i porwana niejako natchnieniem, rzekła:

— Kto tu o mnie wspomina, kto łzy moje waży, mój ojcze? Ja miałabym stawać mu na zawadzie w obronie najdroższego skarbu człowieka. Miałżeby on dla mnie wyrzec się tego, czem dowolnie rozrządzać nie może, co z urodzeniem, z wiarą razem przyniósł z sobą na ziemię, świętego uczucia honoru i godności—dowiedzenia światu, że życie szlachetnego jest na zawołanie powątpiewających o jego szlachetności? Nie, mój ojcze — znam go zbyt dobrze, on tak myśleć nie może. On wie, że stokroć wolałabym dla niego zaszczytny grobowiec niż życie w niesławie. Prawdziwe przywiązanie wzrasta z przeciwnościami, ale niema uczucia, któreby ostało się przeciw upokorzeniu. Tyle razy z sobą o tem rozmawialiśmy! zdaje mi się, że słyszę jeszcze

jego słowa, że je w tej chwili powtarzam. Chciałeś mnie doświadczyć, mój ojcze, uspokoić może, albo przygotować do strasznej jakiej wieści! Jestem kobietą, zniosę wszystko, powiedz mi tylko prawdę. Więcej wiesz niż powiedziałeś. Na Boga, zaklinam cię mój ojcze — nie ukrywaj nic przedemną!... Tak strasznie dziś wyglądasz, jesteś zmartwiony? dobry mój, kochany ojcze, wszakże dotąd niczego jeszcze mi nie odmówiłeś! Mów — powiedz, czemu go dotąd niema, co się z nim dzieje?... Ach ja nieszczęśliwa!...

Chwila męskiego uniesienia wyczerpała siły dziewczęcia; padła ojcu w ramiona i zalała się łzami.

Sokolnik przyjął ją z rozrzewnieniem.

— Drogie dziecię — rzekł rozczulony — gdybym był spodziewał się, że tak dalece weźmiesz słowa moje do serca, nie byłbym cię o niczem uprzedzał. Niepotrzebnie się smucisz. Zaręczam ci, przysięgam na przywiązanie moje ku tobie, że dotąd nie mówiono jeszcze o pojedynku. Wiem z pewnością, posyłałem dowiedzieć się; w tej chwili przyniesiono mi odpowiedź. Cokolwiek nastąpi, rad jestem, żem się na tobie nie pomylił. Przywykłem widzieć cię dziecięciem, i nie spostrzegłem się, kiedyś mi wyrosła na kobietę. Rodzicielska troskliwość zatłumiła we mnie względy, o jakich w rodzie naszym nie godzi się zapominać. Szczęście twoje zasłoniło mi resztę świata. Kto wie czy sam, na miejscu Kazimierza, nie posłuchałbym prędzej rad córki niżeli ojca? A jednak, Bóg widzi, że postąpiłbym przeciw własnemu przekonaniu. Dla wrzasku kilku półgłówków narażać się na utratę skarbu, jakim ty jesteś luba moja córeczko — szaleństwo, niepojęte szaleństwo! Mówię co myślę i czuję — dla czegożby Kazimierz tak samo nie miał czuć i myśleć?

— Nie, mój ojcze, ja niczem nie jestem, i on inaczej czuje, inaczej myśli. On, jak sam rzekłeś, nie ma ani twego wieku, ani twoich zasług. On zechce światu pokazać kim jest, jak go należy szanować. Onegdaj jeszcze, wieczorem mówił mi... już sama nie pamiętam co mówił... biedna moja głowa!... Posyłałeś mój ojcze przed kwadransem—przed półgodziną?... poślij jeszcze!... Każda chwila może być stanowczą. Kogo posłać?... Zadzwonię... Ach, może już zapóźno!... Nie, nie! — szczęśliwe mam przeczucie, Pan Bóg zesłał mi myśl. Władysław jest naszym krewnym... on cię słucha, poważa; kochany mój ojcze, idź sam do niego, wystaw mu szkaradne jego postępowanie, odezwij się do jego serca, namów, nakaż aby pana Kazimierza publicznie, przy wszystkich przeprosił. On taki dobry, on mu przebaczy; pogodzą się, zapomną sobie nawzajem; wszystko szczęśliwie się skończy. Nieprawdaż mój ojcze, że pójdziesz, że myśl moja z Nieba zesłana?

Sokolnik smutnie wstrząsł głową.

— Jakto—odmawiasz?

— Nie moje dziecię; wiesz, że nic nie mam ci do odmówienia, ale widzę, że nie znasz nieszczęśliwego charakteru Władysława. Albo nie będzie chciał mnie słuchać, albo wszystko przyrzecze i niczego nie dotrzyma.

— Ciebie, mój ojcze nie wysłucha?

— Ani mnie, ani żadnego człowieka z przyzwoitością i z rozsądkiem. Władysław skończy w szpitalu obłąkanych.

— Ależ to niegodziwość bez miary!

— Nic nie wskóram, chociażbym nawet powtórzył mu twoje słowa.

— Ha, kiedy tak, niech się więc dzieje wola Boża! Jest na złych kara. Gdybyś jednak mój ojcze trafił na dobrą chwilę?—powiadają, że najzaciętsi ludzie mają przystępy dobroci. Ja tymczasem pomodlę się do Najświętszej Panny, aby go natchnęła. Jeżeli cię nie usłucha, sam będzie winien swemu nieszczęściu. Mój drogi ojcze — idź. Dowiesz się przynajmniej prawdy; już późno — czas leci tak szybko!

— Zgoda, moje dziecię — odrzekł Sokolnik — przyrzekam, że co będę mógł, uczynię; ale ty nawzajem przyrzeknij, że do mego powrotu nie będziesz dręczyła się niepotrzebną trwogą. Pod tym tylko warunkiem obiecuję moją pomoc. Dowiodłaś mi, że nie jesteś dzieckiem; ufam twojemu słowu.

— Przyrzekam, po tysiąc razy przyrzekam, mój kochany ojcze; patrz!... — suche mam oczy—przekonasz się za powrotem, ale za spiesznym, za jak najspieszniejszym powrotem!

Ostatnie słowa Marya wymówiła we drzwiach; Sokolnik raz jeszcze ją uścisnął i wyszedł, według wyrażenia ojca Zefiryna— wyszedł - brać Piotra w obroty.

Mimochodem polecił starej klucznicy, służebnie z duszą państwu oddanej, aby pilnie zważała na każdego przychodnia, aby nic nie stało się bez uprzedniej jego wiadomości, aby najnieznaczniejszy na pozór, każdy wypadek święcie był mu doniesionym.

Sokolnik niezawsze potrafił ułożyć plan bitwy, ale raz bój rozpocząwszy, wybornie doglądał szczegółów, i zewsząd umiał trzymać się na ostrożności.

Marya pobiegła ku oknu, patrzyła za odchodzącym ojcem; obiema rękami tłoczyła niezmiernie bicie serca.

Namiętnościom szeroko było rozpasać się na świeżej dla nich niwie. Dziewczyna zaznała dotąd w życiu drobnych przeciwnostek, dziecinnych cierpień; bój z rzeczywistością, pierwszy raz chwytał ją za duszę. Na tle gorącego spółczucia ku Kazimierzowi, wężowymi sploty wiły się roje gwałtowuych wrażeń. On cierpiał, a ona przy nim nie była! Wszakże święcie sobie przyrzekli dzielić nawzajem nietylko kwiaty ale i ciernie — ach ona zazdrościła mu tych ostatnich, ona, dziewiczą skroń z rozkoszą byłaby pod kolce podała, byle tylko wszystkie róże jemu się dostały. Z jej strony żadne poświęcenie nie mogło mieć miejsca; ona, życie za niego oddawszy byłaby obowiązek tylko spełniła, powinność, jaką ma każdy człowiek zaofiarowania się za wyższą, użyteczniejszą, doskonalszą istotę. Jakiemże więc prawem inni ludzie, którzy wartością stóp mu ledwo sięgali, którzy nikli przed nim niby stado kruków przed orłem, jakiem prawem śmieli głos przeciw niemu podnosić, wątpić o nim, znieważać?... Skąd tyle złości, skąd na jasnym świecie brało się tyle ślepoty!... Niegodziwi!...

Marya potrąciła krzew ręką. Drobny, świecący przedmiot spadł z gałązki, i do stóp jej się zatoczył.

Poznała pierścionek, który przed niedawnemi czasy, w skutek żartobliwej rozmowy, Kazimierz zawiesił był na dogorywającym laurze, przepowiadając mu zmartwychwstanie.

Zadrżała na myśl, że Kazimierz w tak stanowczym dniu znajdował się pozbawionym cudownego talizmanu; zapominał go nierozważnie, kto wie, czy nawet dla tego nie zginął?...

Niepodobna!... wszakże ojciec przysiągł jej, że dotąd nikt nie pomyślił o pojedynku. Jeszcze był czas, jeszcze wszystko było do zyskania!

Przejęta ufnością, pokrzepiona nadzieją, przycisnęła do ust pierścionek, zawinęła go szybko, i wybiegła szukać spiesznego posłańca.

Stara klucznica Kawecka pierwsza wpadła jej w oczy. Marya nigdy nie miała do niej wielkiego nabożeństwa, ale nie pora było przebierać. Drżąca, wzruszona, rzuciła się jej na szyję i zaklęła, aby doręczony przedmiot natychmiast odesłano młodszemu panu Porajowi. Chodziło o rzecz ważną, dodała; każda chwila mogła stanowić o życiu.

Klucznica wystraszona, trzykroć się przeżegnała i uroczyście przyrzekła, że stanie się wedle woli hrabianki, chociażby sama miała ruszyć z posyłką. W istocie, już puszczała się w drogę, gdy wtem, wyszedłszy do sieni, nagle wspomniała na surowy rozkaz Sokolnika, aby nic w domu nie działo się bez jego wiadomości.

Oczywiście, od wczorajszego wieczora snuły się nadzwyczajne jakieś wypadki. Pan Graf całą prawie noc przegadał z księdzem, hrabina nad rankiem dopiero legła na spoczynek; od rana, wszyscy chodzili kwaśni, powarzeni; dziwny rozkaz Sokolnika nie był bez kozery.

Klucznica zatrzęsła głową, podwinęła merynosowy fartuch, i cichaczem wpuściła talizman do kieszeni, skąd przed powrotem pana, przyrzekła sobie niewydobywać go na jaw.

Nakręciwszy córkę, Sokolnik z radą czcigodnego ojca Zefiryna, jak z kluczem wszystkie zamki otwierającym, spieszył do Piotra, który ze swojej strony, zawiadomiony o odwiedzinach, starał się przez szlachecką dworskość uprzedzić je, tembardziej, że posłaniec napotkał go już był w drodze do dygnitarskiego pałacu.

Sokolnik zdaleka spostrzegł Poraja, przyspożył kroku i obie ręce czule mu uścisnął. Piotr z westchnieniem oddał uścisk. Gorzki, ale poważny smutek wisiał na czole szlachcica; wyraz usłużnego politowania łamał rysy magnata.

— Wiesz pan hrabia o wszystkiem?—rzekł pierwszy głosem, w którym naprzemian grały boleść i oburzenie.

(Dalszy ciąg nastąpi).